ROZMAITOŚCI.

Dnia 19. Sierpnia. № 33. Roku 1857.

Mikołaja Kopernika portrety i wizerunki.

Przez Felicyana Łobeskiego.

(Obacz Nr. 29. 30. 31. 32. Rozmaitości.)

Jakkolwiek oba co do podobieństwa rysów twarzy zgadzają się ze sobą, tak iż mimo niejakiej w tym względzie między niemi różnicy, tożsamości osoby którą przedstawiają, niemożna tu zapoznać: [1]) wszelako co do kompozycyi czyli co do tak zwanych przy jej exekwowaniu motywów, znacznie różnią się ze sobą.

Obadwa przedstawiają Kopernika w kanonicznym stroju; lecz na pierwszym wizerunku obojczyk na szyi jest do góry podniesiony; na drugim opuszczony na dół, a natomiast widna ponad nimi bielizna; a nadto sam krój rękawów u sukni różni się nieco na obu od siebie.

Oba przedstawiają Kopernika z konwalią w ręku; lecz gdy postać wizerunku drugiego, trzyma w lewej ręce kwiatek, a prawą ma na dół spuszczoną: to prawa ręka wizerunku pierwszego opiera się o jakąś tablicę czy księgę z napisem: *Nicolai Copernici vera effigies, ex ipsius autographo depicta.*

Co do naszego wizerunku, to jakkolwiek Kopernik w nim rysami swej twarzy wielce jest do obudwu powyższych podobny; wszelako więcej się zgadza w tym względzie z wizerunkiem mającym na rycinie p. Oleszczyńskiego napis: *Copernicus Iconothecae Boissardianae*, aniżeli z wizernnkiem pierwszym czyli Sztrasburgskim. Co zaś do kompozycyi: to szczupłość formatu tego tu wizerunku, albowiem jest o nie wiele niżej ramion, niedozwoliła ją tu okazać lub rozwinąć, a my się jej też przeto niemożem także domyśleć; sądząc jednak po samym kwiatku, [1]) a jako jednej z głównych części tu kompozycyi: to wizerunek nasz niebyłby ani Sztrasburgski, ani Boissardowy, ale zupełnie inny, a najprawdopodobniej wierna a przynajmniej bardzo przybliżona kopia tego, który Kopernik miał sam odmalować, a który dostawszy się darem Tychonowi Brahemu, przez tegoż ostatniego, według Gassendego, w jego własnem obserwatoryum w Oraniburgu, śród pocztu mężów znakomitych zdobiących tenże przybytek, a mianowicie śród matematyków i astronomów, miał być zamieszczony.

Tak więc doszliśmy tu do wizerunku Kopernika drngiego typu, (wizerunkami Kopernika pierwszego czyli głównego typu, nazywamy tu owe z godłami astronomicznemi), do typu czyli kompozycyi wizerunku Kopernika z kwiatkiem czyli *konwalią w ręku*, a którego to typu wizerunek pierwotny miał być według historycznych zapisek, w które po-

[1]) Ściśle wziąwszy, to o ile na rycinie p. Oleszczyńskiego, wizerunek Sztrasburgski i Boissardowy, i co do rysów twarzy różnią się ze sobą; wszakże nie tyle, aby w nich obec typu głowy i twarzy Kopernikowej dostrzedz i poznać nie można. Mógł malarz przekalkuwując na wieży Sztrasburgskiej wizernnek Kopernika z autografu, porobić w nim nieumyślne uchybienia.

[1]) Niewiemy czyli co do tego punktu wizerunki Kopernika na rycinie Oleszczyńskiego zupełnie wierne są swym pierwowzorom znajdującym się zapewne po zbiorach rycin, a według których Oleszczyński rycinę swą wykonywał; może co do tego szczegółu, jaki wzgląd artystyczny kazał mu jaką zrobić odmianę. Co do naszego kwestyonowego tu wizerunku, t. j. zawartego w zmiankowanem dziełku Walerego czy Waleryana Andrea; to gdy kwiat w reku wizerunków Oleszczyńskiego jest całkiem nikły, to tutaj przeciwnie prawie w rzęsisty rozwity bukiet aż ponad ramię się wznosi i je okrąża. Widać że ten kwiat w kompozycyi tego tu naszego wizerunku był z precyzyą i z pewnem zamiłowaniem robiony, i kto wie czy nam to niepowinno być skazówką, że właśnie ten wizerunek jest co do tych pierwotworem.

wątpiewać wolno, ale które dowodami obalić nie jest tu, sądzimy, rzeczą tak łatwą, przez niegoż samego odmalowany.

Który z tych trzech tu przytoczonych i bliżej określonych jest owym pierwotworem? czy Sztrasburgski? czy Boissardowy? czy też ten przez nas doszły i tutaj przywiedziony, a którego my według książki w której się znajduje, czyli według nazwiska jej autora i wydawcy, Andreasowskim zwać tu będziemy? — który z nich, mówimy, jest owym pierwotworem? trudno byłoby tu rozstrzygnąć, jeśli zresztą owego co do charakterystyki kwiatka podniesionego w poprzedzającym przypisku szczegółu, jako niejakiego na to dowodu brać nie chcemy, a naturalnie jako jedynego brać niemożemy. Z samych dat niepodobna także tego dójść, zwłaszcza gdy te nieodnoszą się ściśle i wprost do utworu będącego wizerunkiem Kopernika. Dotyczące dzieło Gassendego jest z r. 1654, wyszłe zatem prawie w sto dziesięć lat dopiero po zgonie Kopernika. W niem to wspomina wprawdzie Gassendi o wizerunku Kopernika, znajdującym się już wówczas na wieży Sztrasburgskiej: ale kiedy się tenże tam dostał, o tem się nie dowiadujemy. Nasz w mowie będący czyli zamieszczony w przywiedzionem tu dziełku W. Andrea, jest według edycyi samejże książki, z r. .... lecz kiedy jego pierwotwór mógł powstać, o tem naturalnie z kopii, a którą jest niniejszego wizerunku odtworzenie, dowiedzieć się niemożna.

Na każden raz Sztraskurgski wizerunek nie jest tym pierwotworem, (przypominamy, iż tu mówimy o pierwowzorze wizerunków Kopernika tylko drugiego typu). Skromność, zresztą gust, jakie Kopernikowi przysądzać mamy prawo i powinniśmy, niedozwalają przypuścić, aby Kopernik mógł się malować, a choćby tylko rzucić ołówkiem rysy na papier z tą księgą czy tam tablicą, z jaką Sztrasburgski wizerunek wyobrażony na rycinie Oleszczyńskiego widzimy.

Najprawdopodobniej, że miasto Sztrasburg, powziąwszy zamiar umieścić na wieży swego tumu w sławnym astronomicznym zegarze wizerunek Kopernika, postarało się o jego autentyczny prawdziwy pierwotwór; a otrzymawszy go, i to ów z konwalią w ręku, czy to był własnoręczny Kopernika a wydobyty ze zbiorów Tychego i przez niegoż miastu w tym celu użyczony; czy też zkądinąd; dość że malarz, który taką malaturę na wieży Strasburgskiej przedsiębrał, czy to był artysta prawdziwy czy podrzędny malarz, zapewne według przedłożonego sobie pierwowzoru odmalował tylko postać z kwiatkiem czyli z konwalią; chcąc jednak malowidło, obraz czyli wizerunek ten więcej i prawdziwie monumentalnym uczynić, dodał swym dowcipem ową księgę czyli tablicę, i wypisał na niej owe to słuszne na taki raz słowo: *Vera effigies Copernici ex ipsius antenthico depicta;* rękę zaś prawą zwieszoną, którą na wizerunku Boissardowym w rycinie pana Oleszczyńskiego widzimy, podniósł i położył na owej to księdze tylko dla koniecznego sensu i że tak powiemy artystycznego zaokrąglenia pozycyi.

Tak, według nas, powstał wizerunek Kopernika Sztrasburgski, odtworzony według pierwotworu czy to wizerunku Boissardowego, czy będącego w posiadaniu Tychona Brahego, czy też według jakiego innego.

Zamykamy tu znowu ten nasz ustęp o tem tu przywiedzionem dziele, o tym w niem znalezionym wizerunku, i o dwóch innych Kopernika wizerunkach zamieszczonych w rycinie Oleszczyńskiego, a mianowicie wizerunkach Sztrasbnrgskim i Boissardowym, tem orzeczeniem: że każden z nich jest tylko odtworzeniem z innego a będącego tegoż typu (t. j. wizerunek Kopernika z kwiatkiem czyli konwalią w ręku) pierwotworu; i że wszystkie trzy, acz co do kompozycyi czyli właściwiej co do jej niektórych szczegółów, różnią się między sobą, gdy atoli pod względem rysów twarzy wielkie zachodzi między niemi podobieństwo i prawie tożsamość: przeto w naszym przedmiocie są one nam tu tym dowodem, iż wszystkie trzy nie mogą pochodzić jak tylko z jednego głównego autentycznego wizerunku; i że tak wizerunki dwóch ostatnich dowodzą autentyczność pierwszego, jako i odwrotnie; i jako ją dowodzi każden z nich z osobna wzięty przez swój stosunek do drugiego.

Wszakże to powiedzenie i twierdzenie jest tu tylko nawiasowem, i my swą drogą, raz obraną, autentyczności Kopernika wizerunków dalej dochodzić będziemy.

A najsamprzód będziem tu jeszcze próbowali, ażali nam się nie uda dójść, zkąd ów głównie tn na końcu w mowie będący wizerunek Kopernika, a wykryty w owem to dziełku Andrea z r. .... mógł być lub był istotnie czerpany.

W tym celu, jak to i powyżej po dwa razy przy poprzednich dwóch książkach czy-

niliśmy, przepatrzmy tylko przedmowę do samegoż dzieła.

Jest ona wystosowana przez wydawcę i autora do niejakiego Miraea, kanonika i bibliotekarza miasta Antwerpii, i niewątpliwie ówczesnego uczonego, poczynająca się wyrazami: *Reverendo et Clarissimo Viro Auberto Miraeo Canonico et Bibliothecario Antverpiano Valerius Andreas S. D.*

Po wspomnieniu tedy w niej na początku o dziełach u starożytnych podobnej treści, jako to: Pomponiusza Attica, Kornela Nepoty, i C. Pliniusza; dalej z nowszych; o podobnem dziele niejakiego Jędrzeja Schotta; nareszcie i o dziele samegoż Miraea, a mianowicie w wyrazach: *utpote qui Elogia illustrium Belgii Scriptorum, eleganti a Te stylo conscripta, eorundemque Imagines tua cura a Theodoro Gallaeo in eas incisas publicasti*; takie nareszcie nasz autor rzuca światło na miejsca, w których podobne wizerunki mogły się znajdować, oraz na osoby, przez które bywały do tych miejsc zgromadzane.

Tibi (temuż Miraeowi) *grata posteritas, perpetuo est debitura quod nimirum summorum nostri aevi Virorum* Imagines, nt quondam M. Varronis, aliorumque eruditorum, in bibliothecis tum privatis tum publices *aeternum spectabuntur.*

I oto przybytki, w których to znajdowały się już i podówczas sławnych ludzi wizerunki. I na tem to także ogólnem doniesieniu i co do tego tu w mowie będącego Kopernikowego wizerunku, na tem miejscu, z braku ściślejszych skazówek poprzestać musimy.

Przechodzimy teraz do bardzo ważnego dla naszych poszukiwań dzieła, do dzieła Gassendego; wszyscy to pospolicie, tak dawniejsi jak dzisiejsi, tak krajowi i zagraniczni, pisząc żywot lub cokolwiek o Koperniku, na niem się opierali; bez tego dzieła nic dziś gruntownego o Koperniku napisać niemożna. Czerpał w nim Hartknoch, Zernecke z zagranicznych; a z krajowych czerpał w nim Jan Śniadecki, Adryan Krzyżanowski, czerpali Szulc, Czyński; a i my dla naszego tu skromnego przedsiewzięcia i zadania, acz wizerunku Kopernika wiemy w dziele tem nieznajdzie, wszelako jak najciekawszych i wielce pouczających w tym względzie szczegółów dla naszego przedmiotu znaleźć się tu spodziewamy.

Tytuł dzieła tego: *Tychonis Brahei Equitis Dani, Astronomorum Coryphaei, Vita. Authore Petro Gassendo, Regio Matheseos Professore. Accessit Nicolai Copernici, Georgii Feurbachii, et Joannis Regiomontani Astronomorum celebruim, vita. Editio secunda auctior et correctior. Hagae Comitum, Ex Typographia Adriani Vlacq. 1555, 4to.* (D. c. n.)

ZBIORY ARCHIWALNE.

Listy Maryi Józefy królewiczowy.

1. List.

(W protokóle zapisano: Marya Józefa królewiczowa do Stefana Potockiego Marszałka koronnego brata Prymasa Teodora).

Warszawie 8 augusta 1719

Monseigneur.

Oddawszy winną weneracyią WXiązecey Mosci oznaimuię mu zem uspokoiła JXiędza Biskupa płockiego za dwa tysiące tynfow resztę zas tey Summy od Waszey X. Mosci pochodzącey, przy mnie zatrzymuię, dla pewnego skrupułu ktory Lepi wyrazy JPan pisarz dekretowy, Ja zas proszę WX. Mosci abym mogła te reszte summy oddacc Bratu memu, na co czekam rezolucyiey Jego będąc zwszelką estimą y weneracyią Waszey Xiążecey Mosci szczerze zyczliwa niska Sługa Maria Jozefa k- Polska.

List na ćwiartce cały własnoręczny.

2. List.

Madame

Lubo nie wątpię o Łasce y affekcie, Jego Mosci Pana Marszałka Mego Wielce WCPana ku osobie moiey, ani tesz o sprawiedliwosci Jego, przeciesz y Samey WMMCi Pani proszę Jako tey którąm znała zawsze na się Łaskawą zebys Interes moy, tak teraz, wteraznieiszem Sądzie przypadaiący, Jako y ten ktory potem w ręku Jego będzie Zaleciła, Jego Mosci Mci Panu, Cokolwiek WMMci Pani

uczynisz dla tey ktora prawdziwie y serdecznie WMMCi Panią kocha y Jest doskonale

WWMCi Pani y kochany Dobrodziki szczerze prawdziwie Zyczliwa Sługa Maria Jozefa krolewicowa Polska.

w Zołkwi 12 Januaryi 1728.

Suplikuię abys WMMCi Pani miała na pamięci, żesmi wszyscy podlegli nieszczęsciu y sieroctwu, temu w kotorem Ja teraz zostaię,

List na małym półarkuszu z czarną obwódką, cały własnoręczny.

Archiwum familijne w zbiorze W. Hieronima Sadowskiego.

KLEJNOT PRAPRABAŃKI.

(Bilder und Geschichten aus Schwaben von Ottilie Wildermuth).

Jnż-to jak sala gościnna mojej Babuni, nic mi się piękniejszem nigdy nie wydało. Coś tak uroczego ani widać w salonach dzisiejszych; a chociaż się nazywała gościnna, nie gościom się otwierała, ale tylko w największe święto familijne, i dla tego to co tam było tchnęło takim duchem uroczym. Mebli rokoko tam nie było, ale jakie porządki! w stylu z lat niepamiętnych. Tu misternie wykładana komoda, jeszcze z wieku siedmnastego, na niej czarki, czareczki, każda z czułym napisem, to: „pamiątka od serca" to „wdzięczna miłość" — a co tkanek i haftów rączkami wnuczek i wnuczątek przerabianych! pamiętam prześliczny pokrowczyk pod nogi, tylko że się wzorek nie udał, trudno wiedzieć czy to był piesek czy baranek; ale za to osłona zprzed kominka paradna, przebijał się z niej do światła malutki pawek jak złoto. Były tam wspaniałe zwierciadła w ramach żłobionych od ręki, czemu dziś i pamięć zaginęła; z nowszych mebli najpiękniejsze były krzesełka z siedzeniem haftowanem w bukiety; a co innych osobliwości!

Pomnę tylko Obrazy familijne, bom się im nigdy napatrzyć nie mógł. Nawet kiedy-m był starszy, jeszcze z kuzynką moją obchodziliśmy od ściany do ściany, zacząwszy od harbajtlów i puklów aż do głów strzyżonych, i nie mogliśmy się nacieszyć co za swoboda i wygódka mieszczańska wyglądała zpod tych peruk dziś zapomnianych, i co dziwnie zdawały się szydzić z portretów poźniejszych à la Werther w frakach niebieskich z kamizelką barwy czysty kanarek. Galerya kobiet jeszcze była okazalsza, tylko nie wiem kogo mam pomawiać, czy malarza że chybił, czy moje antecesorki że się nie umyły do naszych panien i matek. Najwdzięczniej jeszcze wyglądał portret babuni samej, główka cała w kędziorkach, a na czubku kapelusik od niechcenia.

A babunia, trzeba wyznać, lubiła słuchać kiedyśmy ją chwalili z tego że była piękna, nawet ją nie gniewało kiedy kto nie chciał wierzyć że kiedyś była wysmukła. Babunia nasza i w podeszłym wieku była pani cale piękna i okazała, tylko że otyła niezmiernie.

Obok jej portretu wisiał obraz prababki, malowany widać w poźnych latach, ale zpod rysów podtatusiałych nie wyglądały obleśne przylubki; i w tem nie pomylił się malarz, bo prababka a szczepicielka rodu, nie może wygładzać czoła, kiedy na jej duszy polega ciężar całej potomności. — Rozpowiem ja to kiedyś.

„Babuniu, babuniu! kto-to ta pani w czarnej sukni, stara i brzydka, co nad kominkiem wisi?" pytaliśmy się raz, opatrzywszy obrazy. „Jeźli ona z naszej familii, to musiał nas ktoś przerobić — szkaradzieństwa takiego między nami niema. Szkoda tego klejnotu na niej! ba jeszcze to romansowe imię!" Wypisano stało na boku: „Jej Mość Pani Anna Barbara Rumplińska z domu Krumbińska."

„Szkaradzieństwo? proszę!" ofukła babunia, „a wy co lepszego? półgłówki! wszak ją malowali, kiedy już w wieku była."

„Ależ Babuniu, i ty także nie z dzisiejszych, a jaka ty ładna!"

„Eh! co tam" dodała babunia trochę odobruchana, nie wszystkim pan Bóg urodę daje, a mój mąż nieboszczyk nie z urodą moją się żenił. Choć byście was dwoje złożyli cały wasz rozum, jeszcze by i krzty nie było tego, co miała rozumu wasza praprababka, Jej Mość Pani Rumplińska z domu Krumbińska. Sami przypatrzcie się, czy to głupia twarz? chyba oczu nie macie, nie wiecie sami co ona przeżyła, a paplacie nic do rzeczy. Nazwisko

wam się nie podoba! alboż to nie uczciwe imię? powiem, że imię bardzo znakomite, bo jej mąż był Łandwójtem, a to wtedy więcej znaczyło jak jaki Starosta dzisiaj. Przymawiacie! a daj boże i wam tego. — Mam ja coś po praprababce, co jak pokażę to was zawstydzi.“

I z tem babunia wyszła do alkierza, i po chwili wyniosła skrzyneczkę, stary gracik odwieczny z napisem rok 1658, a na wieczku malowidełko, jak król Dawid podglądał Betsabę — podpisano było: w kąpieli; ale oko naszych pradziadów skromniejsze snadź było niźli usta, bo Betsaba z całym orszakiem kobiet w stroju z szesnastego wieku maczała tylko koniuszczek nóżki i to w domyślną wodę, a król Dawid patrzał nie można lepiej tak przyzwoicie. Gdyby nie podpis ze chuć pożądliwa zgubiła Dawida, małoby go domyśleć się można po purpurowym płaszczu z gronostajami, po kaftanie i pludrach rycerskich. Szczęściem trzymał arfę w ręku a koronę na głowie.

Tę skrzyneczkę otworzyła babunia i wyciągnęła z kryjówki taki sam klejnocik w jakim była na portrecie Jej Mość pani Rumplińska. Przedstawiał ptaszka z dzióbkiem i łapką wyciągnioną na sposób jak zapinka na klucze; cudnej roboty, szmelc na biało w prążki złote, a rubinkami wysadzany. Ptaszek wisiał na złotym łańcuchu bardzo misternie spajanym, ale w jednem miejscu widać było że ktoś z całą mocą rozciągał ogniwka, jak gdyby chciał rozerwać a nie mógł.

„Byłoby o tem wiele co mówić“ rzekła babunia, gdyśmy się napatrzyli, „pozwolę wam przeczytać ten tu dokument co spisał ksiądz proboszcz Schneck siostrzeniec Jej Mości pani Rumplińskiej, tylko proszę schowajcie dla siebie przemądre uwagi wasze.“

A czy będzie w tym dokumencie co o miłości? babuniu!

„Coż znowu! czy myślicie że dziewczęta z tamtego wieku jak wy dziś, co już w czternastym roku chorujecie na serce? Śmiech ludziom powiedzieć co się dziś dzieje, w czternastym roku chorują na serce, w szesnastym żegnają się ze światem, a w dwudziestym czwartym byle tylko urzędnik z jaką taką pensyjką zakołatał do nich, oho! już i lepną do niego i zaklinają się że dopiero prawdziwą miłość poznały. Tfy! Za czasów waszej praprababki nie było czasu chodzić w zaloty, ludzie pracowali o pocie czoła i oglądali się, a szczęśliwy był kto życie uchował. A wam zawsze pusto w głowie — nie warciście i pomacać tego pisma. Nie dam!“

Pokaż babuniu, pokaż! Zkądże byśmy rozumu nabrali, jak nam nie pokażesz? Nie prawda babuniu że pozwolisz przeczytać?

Musiało już i do babuni coś świtać z zarazy naszego wieku, kiedy uwierzyła żę rozum nabiera się z czytania; pozwoliła dokumentu, tylko dodała: „Macie, ale pamiętajcie!“ A to „pamiętajcie“ ściągało się do tego ażeby ją nie drażnić, bo przypowieści i bajek nigdyśmy nie zapominali: na dowód przytoczę co w dokumencie było — ale tylko w treści, bo ktożby uczciwy a z wychowaniem chciał sobie wykrzywiać gębę staroświecczyzną ze zbutwiałych papierów.

Roku p. 1658 zaręczył się Jego Mość Pan Baltazar Rumpel Łandwójt w Sawidzie z szanowną Jej Mościanką Panną Anną, Maryą, Barbarą Krumbińską, córką pana Krumbina podstarościego w dobrach Sawidowskich. Poznał się z nią gdy z urzędu objeżdżał swój obwód wtedy opustoszały po ciężkich wojnach, morowej zarazie i głodzie z dopustu bożego, a wpadła mu pierwszy raz w oko z gospodarności na folwarku, z przykładności w gromadzie a i z urody także. Bóg tak zrządził że sie zdybali rozsądek z rozsądkiem i polubili; a że ojciec na zrękowiny pozwolił, to i w tem była łaska boska, iż go oświecił ile Krumbińscy na tem zyskają jak pan Łandwójt zostanie zięciem podstarościm, że będzie i dla córki zaopatrzenie, i dla ojca o kogo się oprzeć będzie, i dla rodziny znaczenie u ludzi. Więc wszystko byłoby dobrze, gdyby nie Jej Mość Pani Rumplińska matka Łandwójta, kobieta dumna i pyszna z swego szlachectwa, choć prawdę mówiąc nie było tak z czego, bo wszyscy ..ińscy szlachta z osoby tylko, a nie jak ...owscy co są szlachtą i z posiadłości udzielnych. Otóż stara Jej Mość Rumplińska ani słyszeć chciała o zamęściu syna z podstarościanką na Grzybowłokach jak powiadała. A że to już jest we krwi szlacheckiej raczej zginąć a nie ustąpić, stało się że pani Rumplińska matka, umarła dnia 14 listopada 1658 roku, i że pan Baltazar postawił także na swojem skoro opłakał śmierć matki, co było zaraz na wiosnę.

Zapowiedziało się wszystko jak potrzeba, i gdy panna Młoda zbierała się do ślubu, przyniósł jej p. Baltazar bardzo ozdobny i misterny klejnocik, był-to szmelcowany ptaszek na biało o złotych piórkach i na bardzo ważnym łańcuchu złotym, co się zamykał iglicą na szyję tak sztucznie, że rozumu nie było, ktoby ten łańcuszek otworzyć umiał,

chyba że wiedział. Pan Młody podając pannie Annie ten klejnot tak przemówił: „Najmilejsza moja Panno oblubienico! przyjm ten klejnot familijny, co każda oblubienica w naszym domu zawsze na szyję wkładała, na znak miłości która nasze serca wiąże, a której nic nie rozerwie tylko ta sama ręka boska co nas złączyła, jak tego łańcucha nic nie rozemknie tylko oto kluczyk tego samego mistrza co te ogniwa pospajał.“

Panna Anna przyjęła upominek oblubieńczy z wdzięcznością, chociaż ją w duszy, łańcuch coś nie cieszył; ale że sobie powiedziała „tak musi być“, więc i z miłości dla p. Baltazara postanowiła przystroić się w dzień ślubu, i przywołała Juliannę sługę po nieboszczce pani starej, ażeby jej łańcuch założyła; a Julianna zapinając, mówiła niby do siebie: „Daj Boże, ażeby ten klejnot więcej przyniósł dobra, niż chciała nieboszczka Pani!“ Posłyszała to i przeraziła się panna Młoda, więc w rozmowę, i od słówka do słówka, wygadała się stara sługa, że nieboszczka pani jeszcze konając, odwodziła syna, podawała mu ten łańcuch i prosiła ażeby go założył na taką pannę, jaką ona sama wybrała. Ale że pan syn odpowiedział: „Pani Matko, dam go takiej którą sam wybrałem, a pewnie godnej błogosławieństwa twego“, więc nieboszczka Pani kazała synowi odejść, a potem wywołała za nim: „a kiedy ten łańcuch ma już iść na podstarościankę, dajże-ż Boże, niech na nim uwiśnie i niech ją udusi!“ i z tem umarła.

Na to panna Anna nic — tylko powiedziała: „Łaska boska jest większa niż gniewy ludzkie“, ale przecie ją to tak przeraziło, że ją w gardle dławić zaczęło, i już tylko Boga prosiła, ażeby się ceremonia prędzej skończyła. Więc na osobności kiedy już z mężem była, wylała przed nim żale swoje, i skruszeni padli na kolana oboje, ażeby Bóg ręką swoją odżegnał przekleństwo matki; potem dopiero gdy im przez okno zabłysła jasna gwiazda na niebie, z dobrą otuchą podjęli zawód małżeński.

Upłynęło tak dwanaście lat, Basia ich jedynaczka miała wtedy lat jedynaście; państwo Rumplińscy wracali raz od pana Ławnika, gdzie byli na chrzcinach, gdy nagle wrzawa powstała: „Czerwiacy! Czerwiacy!“ a była-to tłuszcza wałęsnych łupieżców, niewytępiony zabytek po wojnach, którzy rozpierzchli po kraju, rabowali, niszczyli i łupili gdzie co mogli. Sposobu nie było uciec, p. Rumpel dopadł tylko do domu, zatarasował żonę z dzieckiem w komorę, a sam chyłkiem się wymknął, ażeby pozbierać orężnych, i siłą wyparować dzikich najezdźców, którzy mu dom napadli i dwóch pachołków u drzwi zamordowali.

Została tedy pani sama z dzieckiem i dziewkami, kęs żywo w ciemnicy. Wprawdzie mogli by się byli wydostać w dziedziniec i uciec, ale u progu stał jeden Czerwiak na straży zostawiony. W tem Basia tuląc się do matki zawołała nagle: „Mamo, mamo, a twój łańcuch na szyi! schowaj, bo ci go złupią.“ Pani Anna dopiero się postrzegła, że była w świątecznych sukniach, i że iglica od zamku w skrzyneczce została. Dreszczem przeszyło ją po całem ciele, gdy jej na myśl wpadło przekleństwo teścine, bo ani było sposobu umknąć, ani środka zerwać z szyi łańcucha, kiedy go czem otworzyć nie było. Zimny pot ją oblał, gdy pomyśl[illegible] że za chwilę mogą się dobrać Czerwiacy, a tu żadna dziewka, choć próbowały, nie mogły rozemknąć łańcucha. W śmiertelnym strachu, wzniesła oczy do nieba, i nabrawszy sił nowych, porwała sama za łańcuch, szarpnęła, i przy pomocy boskiej rozwlekły się ogniwa o tyle że go przez głowę zdjąć mogła. Aż duchy w nią wstąpiły, gdy się pozbyła strachu, a dziewka jedna już nieczekając, co pani uradzi, staje u okna, i w targi z Czerwiakiem; daje mu łańcuch byle im pozwolił wymknąć się z komory, czemu Czerwiak i tak był rad, bo że na straży, byłby wyszedł z gołymi rękami.

Bóg dał, że mu ta ludzkość łupieska nie wyszła na sucho; bo właśnie pan Rumpel zebrawszy zbrojnych pachołków obskoczył opryszków z nienacka, i strażnik ten, pierwszy ugodzon zostawił z swem cialskiem u progu i torbę z łańcuchem. Widocznem już było że pan Bóg zdjął przekleństwo z tego łańcucha, kiedy ten łańcuch i Jej Mość panią Annę ocalił, i kiedy sam się dostał napowrot; więc też i wiodło się później państwu Rumplińskim bardzo, i przy pracy i oszczędnościach wynagrodziło się stokrotnie, to co nabroili owi ladaco.

Ale tego klejnotu, co raz strachu nabawił, a potem z ucisku wybawił, już pani Rumplińska więcej nosić nie chciała, tylko na pamiątkę kazała się w nim odmalować; a umierając złożyła go w ręce córki z wyraźnym przykazem, ażeby po wieczne czasy zostawał w posiadaniu u najstarszej córki, bo zlewa na niego te wszystkie błogosławieństwa których mu nieboszczka Pani odmówiła, i że dopóki ten klejnot zostawać

będzie w ręku familii[,] nie zamąci nic zgody i pokoju rodziny.

Otóż-to taka historya klejnotu praprababki. Babunia choć ją umiała na pamięć, słuchała i oka niespuściła do samego końca gdyśmy czytali, potem się mocno zadumała. A ja chcąc babunię rozerwać mówię:

Ależ babuniu, przecież tu jest kawałek miłości; bo żeby się był pan Rumpel nie zakochał w pannie Barbarze Krumbińskiej, byłoby i klejnotu nie było, i ani przekleństwa, ani błogosławieństwa.

„A wy nic dobrego! poczekajcie, że wam kiedy co powiem.“

Ulicznicy w San Francisco.

Każde większe miasto ma swoją młodzież, która mu wydeptuje i śmieci ulice, na nich przebywa, gości, mieszka, i samosiewna na nich pierzy się i leni, a od czego nazywa się uliczna. Nie uszło i San Francisco rozpłodku tego, owszem od czasu gdy się rozszerzyło, zawiódł się w nim i Ulicznik ale miotu cale odmiennego niżli nasz europejski. Ulicznik z San Francisco różni się od wszystkich innych na świecie; jest on kosmopolita, a mieszanina rasy keltyckiej, murzyńskiej i saskiej wydała próbkę, nad którą wartoby się zastanowić psychologom naszym. Ulicznik rasy keltyckiej ma zęby wystające jak u szczurów, na ręku i twarzy pełno piegów, włosy rude i małe siwe oczy, z których fałsz i przewrotność wygląda. Chodzi zawsze z gołą głową, i dlatego też ma włos kudłaty i podobny do kłaków. Żarłok z niego szkaradny, a najmilej mu niedaleko przekupek, co owoc przedają. Za pomarańczą przegniłą lub za orzechem co się potoczy, upędza się z małpią zwinnością i tak dobrze z łupem umyka, że o lada fraszkę niktby niechciał nóg sobie zrywać. Owoc mienia za kawałek niedopalonego cygara, a w dziewiątym roku życia popija już dobrze wódkę. Podpiwszy jest złośliwy, a wtenczas dokucza psom uwiązując im drewno lub starą jaką puszkę blaszaną do ogona. Ulicznik rasy keltyckiej lubi zawsze się czem zająć, łypa za każdym przedmiotem co mu się bardziej podoba, nkłada plan kradzieży lub figla, i zanadto jest ruchliwy, by miał wcale oddać się próżniactwu. Jest przytem i o swoje obuwie starowny, a znalazłszy na śmiecisku lepszy jaki trzewik od swego, naciąga go zaraz na nogę. Nie chodzi mu jednak tyle o strój, co o przydatność i wygodę, i dlatego też biega nie raz w jednym bucie w drugim trzewiku. Wezwany do drobnej przysługi żąda za nią trzy razy tyle co warta, a nie dajże mu tego, to jeszcze hardo się postawi.

Uliczuik etyopski trzyma się w pobliżu domów gościnnych, z których kuchnią dobrze jest obeznany. Kucharza umie zjednać swemi figlami, a dla rozśmieszenia i zabawy innych domowników użyra się z psem domowym, i zwykle bierze nad nim górę. Mniej złośliwy a bardziej leniwy ma tyle rozumu i wstrzemięźliwości, że niekradnie w miejscu przytuliska lub głównej swej kwatery, aż pokąd nie ulegnie pokusie i pouęcie starego zegarka śrebrnego. W takim razie przenosi się na inną, odległą ulicę, i więcej się już nie pokazuje, a przydybany przypadkiem składa się w pokorze i tem wyprasza, ze musi utrzymywać ojca, co ślepy i chromy. Przed kijem umie się wyśliznąć jak piskorz, najmniejszym otworem wkrada się jak kot do piwnicy lub ukrywa w pace od śmieci. Jest on żarłoczny i zwykle zażywny; nie nosi żadnego obuwia, a spodnie jego zawsze przykrótkie. Czasem go skorci do lepszego towarzystwa, a w takim razie jedyny dlań „puer vialis celticus“ (ulicznik rasy keltyckiej): z nim więc prowadzi się pod ramię z ulicy na ulicę, zamazuje błotem szyby chińskich ladaszczyc i płaci mu wódkę. Chińczyków uważa za ród pośledni i urąga się tej rasie, płata im figle, a najbardziej się tem cieszy, że im może dokuczać bezkarnie.

Z chileńską i mexykańską gryzetką żyje poufale i garnie się pod jej opiekę. Znane mu są jej tajemnice i doznaje od niej względów ludzkości. W porze słotnej daje mu ona nocleg pod swym łóżkiem i ukrywa go przed poszukiwaniem policyi, która dla nich obojga solą w oku. Jej tylko służy wiernie, a sympatya skóry ciemnej utrzymuje i sympatye duszy: kobieta brunatna widzi w czarnym chłopcu własny swój los odzwierciedlony. Ulicznik murzyński nie jest serca złego, i tylko krzywda uczy go złości. Pomny dobrodziejstw doznanych tem się odpłaca, że dobroczyńcę swego nigdy nieokrada.

Łgarz z niego wierutny, i to w nim najgorsze, chociaż bardziej kłamie dla dogodzenia swej gadatliwości, niż z wyrachowania.

Między wszystkimi ulicznikami w San Francisco celuje jednak ulicznik rasy anglo-saskiej. Jest on nieco ochędożniejszy od innych, myje się często i stara się o przyzwoitszą odzież dla siebie. Chytry, obrotny i ciekawy uczy się także i czytać. Roznosi gazety, najmuje się do rozmaitych posyłek, a przy tem zbiera i flaszki próżne. Wstydząc się żebractwa, puszcza się na różne wybiegi i oszukuje jak może. Drobne oszustwa stanowią główny jego zarobek. Zna wszystkie zakąty miasta, i nim się też wyręczają złodzieje i inni hultaje. Z fiakrami żyje brat za brat, wie gdzie mieszka ta lub owa nimfa, umie im nadskakiwać, wysadza ich z powozu, lecz patrzy przy tem, by im mknąć przynajmniej chustkę od nosa. W mowie niepowściągliwy wyklina gorzej wojaka starego. Chełpliwy i samochwalca nie ma odwagi prawdziwej, lecz za to lubi oszczędzać. Marzy tylko o tem, kiedy mu już będzie lat ośmnaście, by mógł się zaciągnąć do wojska i choć na pozór uchodzić za człowieka, któremu już przysłuża prawo głosowania. Stałego przytułku nie ma nigdzie i wszędzie go pełno: w porcie czeka na przybywające okręta, a często kręci się i przed biórem policyi, jeśli czego nowego nie zbroił i nie lęka się kozy. Raz sypia w jakiej komórce, a drugą razą gdzie pod mostem lub w próżnem czółenku. Wiary nie dotrzymuje nikomu, mściwy jest nad wszelki wyraz, a ze zemsty gotów dopuścić się wszelkiej szkarady. Postać jego wychudła i koścista, z wielkich oczu jego patrzy mu nałog występku; usta jego wązkie i blade, a od tytoniu ma zęby pożółkłe. Gdy mu się nieco lepiej powodzi lubi się ubrać, a wtenczas przybiera pozor człowieka statecznego. Wieczór machlerzy biletami teatralnemi do wstępu powtórnego; sam poprzestaje na jednym tylko akcie, a przed skończeniem widowiska szuka jeszcze kogo, coby bilet od niego zaco bądź odkupił.

Kościoł Ś. Zofii w Konstantynopolu.

Ś. Zofia, niegdyś chrześciański kościoł, dziś Meczet turecki w Stambule, słusznie szczyci się sławą najznakomitszej budowy na świecie, bo-ć pierwszą jest świątynią, która na odsadach podmurza swego wzniosła banię nad sobą, i osklepiła przybytek pański na wzór jak niebo świat widomy osklepia. Przeczuli wielkość pomysłu tego sami nawet nieprzyjacioły i wytępiciele wyznania chrześciańskiego, kiedy w kopułę wpisali wiersz koranu: Bóg światłością nieba i ziemi; i Ś. Zofię stambulską ogłosili pierwszą świątynią po Kaabie mekkańskiej, i zaopatrzyli w dostatki, może Chrześcianom na upokorzenie iż wyznania czcigodnej wiary swojej strzedz i chronić nie umieli, a może i na świadectwo potomnym jako duch ludzkiej sztuki sprzymierzyć się umiał z duchem tchnienia boskiego, z religią. Bądź cobądź umieli Turcy szanować dzieło wielkie, kiedy opiekę nad niem powierzyli władzy na świecie najpotężniejszej — religijnemu uczuciu wiary — a nadzór poruczyli dobranym z umysłu urzędnikom, świeckim i duchownym bez liku, a z posagiem, na który wieczyście składać się musi Greczyn. Ormianin i Żyd Smirneński, opłacając dań corocznie z gruntu gdzie mieszka, a z przepadłością całego mienia swego, jeśli bez męskiego potomstwa zmiera. — Nie mógł Greczyn bez boleści tracić, nie może bez żalu dziś spojrzeć na pomnik świetności minionej, i krąży między ludem greckim w Konstantynopolu podanie że w chwyli zdobycia stolicy, rozwarły się mury kościoła, i pochłonęły patryarchę świętego z krzyżem, lecz przyjdzie czas, że te mury rozstąpią się raz jeszcze, i patryarcha z ukrycia wyjdzie, a to wtedy kiedy prawowierny monarcha przestąpi progi Ś. Zofii. Zachowały się nawet pieśni między ludem z pierwszych czasów zakonu, które proroczym duchem zapowiadają srogi Ś. Zofii odwet Turczynowi. Chroń jednak Boże ludzi od pomsty, osłoń niepamięcią przewinę! gdyż uledz by onej musiał i cały zachód Europy łacińskiej za skażenie i świętokradztwa spełnione na Ś. Zofii. Gdy w r. 1204 Frankowie z Łacinnikami w czasie czwartej wyprawy krzyżackiej Konstantynopol zdobyli, splugawili świątynię posoką krwi księży wymordowanych, zasiedli w kościele Ś. Zofii, i wyprawiali przy tanach i kuflu biesiady z urągowiskiem wyznaniu greckiemu — a czego przecież Turczyn się nie dopuścił.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.*